

Weronika Sztorc

KIEDY MANUSZ SYAJE SIĘ MEHRAN(EM)

TEKST NAGRODZONY WYRÓŻNIENIEM W KONKURSIE „TŁUMACZE ŚWIATA“ NA RECENZJĘ
PRZEKŁADU KSIĄŻKI NOMINOWANEJ DO NAGRODY IM. RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO ZA
REPORTAŻ LITERACKI

The Underground Girls of Kabul to reportaż Jenny Nordberg, urodzonej w Szwecji nowojorskiej dziennikarki, dotyczący zjawiska *bacza pusz* – dziewczynek przebieranych za chłopców. Afgańscy rodzice decydują się na taki krok, by podnieść swój status społeczny i uniknąć gorszego traktowania ze względu na brak męskiego potomka. Jedną z takich dziewczynek, cieszących się większymi przywilejami niż ich siostry, jest Manusz, córka Azity, afgańskiej parlamentarzystki, wychowywana jako chłopiec – Mehran. W tej niezwyklej opowieści uwagę przykuwa bez wątpienia to, jak płynnie dziewczynki wchodzą w rolę chłopców. Tuż przed „przemianą” cieszą się, jakby stały u progu fascynującej przygody, później bez oporów korzystają z nowych przywilejów, a nawet ich nadużywają, na przykład by pomóc innym dziewczętom. Najbardziej dramatycznym momentem jest oczywiście dzień, w którym muszą powrócić do kobiecej roli, z czym nie wszystkie sobie radzą.

Jak taki specyficzny i zakorzeniony w kulturze muzułmańskiej tekst przedstawić polskiemu czytelnikowi, dla którego omawiane sprawy są całkiem obce? Przekład Justyna Huni (który dotychczas tłumaczył głównie pozycje dotyczące kulturoznawstwa i historii) należy do udanych, choć nierównych: barwny styl oddaje charakter oryginału, trzeba docenić idiomatyczny język, tekst właściwie nie stawia podczas lektury oporu typowego dla niezgrabnych przekładów. Niestety tym bardziej widoczne stają się zauważalne w tłumaczeniu usterki – nieadekwatne słownictwo, kalki, czasem błędy ekwiwalencji

zaburzające spójność obrazu. W słabszym przekładzie zapewne by nie raziły, ale ponieważ poprzeczka postawiona została wysoko, nie da się o nich nie wspomnieć.

Zacznijmy od początku, czyli od tytułu: *The Underground Girls of Kabul* można odczytać na dwa sposoby, może bowiem odnosić się zarówno do dziewczynek udających chłopców, jak i do ich matek, działających na rzecz polepszenia sytuacji kobiet w Afganistanie (na przykład potajemnie organizujących zajęcia ze sztuk walki dla dziewczynek). Polskie *Chłopcyce z Kabulu* brzmią bardziej trywialnie – *chłopczyca* kojarzy się z niepokorną dziewczyną wzorującą się na kolegach, podczas gdy *bacza pusz* udają chłopców z powodów społeczno-obyczajowych, nie ze względu na własne upodobania czy fanaberie.

Również podtytuł *In Search of Hidden Resistance in Afghanistan* wskazuje na dwie rzeczy. Pojawia się w nim „ukryty” bunt – to ważne, bo choć fenomen *bacza pusz* jest powszechnie znany w kraju, nie mówi się o nim oficjalnie. Polskie: *Za kulisami buntu obyczajowego w Afganistanie* może sugerować zjawisko bardziej widoczne, choć przymiotnik precyzuje, że nie chodzi np. o walki na ulicach. Ponieważ o dziewczynkach wychowywanych jako chłopcy nie mówi się głośno, w tytule oryginalnym mowa też o „poszukiwaniu” – autorka wielokrotnie wspomina, że miała trudności z odnalezieniem choć kilku *bacza pusz*. Polskie tłumaczenie/określenie: *za kulisami* może zaś sugerować, że zjawisko nie jest nikomu obce, a w książce opisano „od wewnątrz” nieznane okoliczności. Sprawia też, że mniej istotne stają się eksponowane przez reporterkę trudności z dotarciem do bohaterek. Nie tak oczywistym plusem rozwiązania przyjętego przez polskiego tłumacza wydaje się natomiast ewentualne odległe skojarzenie bycia „za kulisami” z byciem „za burką”.

Ogromną zaletą książki Nordberg jest żywy, barwny język. To między innymi dzięki niemu choć mowa o sprawach trudnych, nierzadko dramatycznych, czytelnik nie czuje się przytłoczony, a zainteresowanie losami Afganek nie słabnie ani na moment. Zasługą

tłumaczenia jest dbałość o to, by nie zatrzeć tych cech języka. Uwagę zwraca dobór niebanalnych synonimów lub wariantów, na przykład *splacheć ziemi* (zamiast bardziej oczywistego *plachcia* – przestarzałe słowo pasuje znakomicie do języka niewykształconej dalekiej rodziny Azity z prowincji) czy *rozchwierutane biurko* (s. 22). Docenić należy to, że tłumacz różnicuje styl w dialogach – niektórzy bohaterowie mówią bardzo prostą angielszczyzną, co zostało odzwierciedlone w przekładzie.

Przesadą może jednak wydać się wybór czasownika *wyłuszczyć* we fragmencie, w którym siostry Mehran „wyłuszczają prośbę” (s. 102) o dostęp do laptopa. Jak na język kilkuletnich dziewczynek wydaje się to mało przekonujące. Pewnie też wzmianka o wiejskim *przyodziewku* (złożonym z turbanu, bawełnianych spodni i kamizelki) to zbędny archaizm.

Wątpliwości budzi przymiotnik *bałamutny* jako odpowiednik angielskiego *creative* we fragmencie, w którym matki opowiadające córkom o małżeństwie nie wspominają o współżyciu z mężem, żeby chronić ich niewinność. „Instead, **creative** explanations on the origins of life are traded among the young girls”¹ (s. 158) – pisze Nordberg, a u Huni są to „bałamutne wyjaśnienia” (s. 191). Wprawdzie z obu wersji wynika, że mowa o zmyślonych historiach, ale w polskiej wersji znikła ironia, a za to, skoro mowa o pożyciu małżeńskim, aktualizuje się drugie znaczenie przymiotnika *bałamutny*: ‘zalotny, uwodzicielski’ (www.sjp.pwn.pl), niestosowne w tym kontekście (i niezbyt trafne, skoro owe „kreatywne” wyjaśnienia to np. historie o tym, że rodzice kupują dzieci od jadącego na osle mężczyzny). Lepiej pewnie sprawdziłby się przymiotnik *kreatywny*, zwłaszcza że w języku polskim czasem sugeruje on umyślne przekłamania, np. *kreatywna księgowość*.

Z drugiej strony niektóre słowa rażą potocznością, podczas gdy oryginał pozostaje neutralny. Dziwi stwierdzenie, że w domu jednej z bohaterek „matka, ojciec i sześć sióstr spali **kupa** w innym pomieszczeniu” (s. 199 – angielska wersja „slept together” po prostu

¹ Wszystkie podkreślenia w cytatach pochodzą od autorki recenzji.

informuje o rozmieszczeniu domowników, a polski odpowiednik tworzy obraz nędzy i nieporządku) czy że po niebezpiecznym incydencie w Kabulu „pracownicy ONZ mają **szlaban**” (s. 145 – *curfew* to ‘godzina policyjna’, ‘zakaz wychodzenia z domu’, a *szlaban* kojarzy się z karą dla niesfornego dziecka, co odwraca uwagę od tego, że chodzi tu o zagrożenie życia).

Warto też wspomnieć o usterce językowej, która powraca w tłumaczeniu kilkunastokrotnie, przez co może niestety irytować: o błędnym użyciu zaimka *jaki* zamiast *który* we frazach typu: „W ciągu niemal dwóch dekad, **jakie** od tamtego czasu spędziła w Afganistanie i Pakistanie (...)” (s. 32) czy „pamięta wycieczkę, **jaką** parę lat temu odbyła z grupą pracowników organizacji humanitarnych (...)” (s. 33). Trudno nie zauważyć, że mowa o właśnie tych (a nie takich samych) dekadach i latach. Gdziekolwiek ten sam błąd pociąga za sobą poważniejsze konsekwencje, na przykład we fragmencie „znajomy zaproponował, że pożyczę jej dwieście dolarów, **jakich** potrzebowała do zarejestrowania swojej kandydatury podczas pierwszych ogólnokrajowych wyborów parlamentarnych” (s. 109) źle dobrany zaimek może sugerować, że mowa o szczególnym rodzaju dolarów (na całym świecie jest ich przecież kilka). Trudne do zrozumienia jest zdanie „Latem 2013 roku Azita korzystała z pomocy lekarskiej z powodu tępych ciosów, **jakie** otrzymała w szyję i klatkę piersiową, **których** ślady sfotografowała i wysłała mi” (s. 358) – przez użycie dwóch różnych zaimków w pierwszej chwili może wydawać się, że Azita sfotografowała ślady szyi i klatki piersiowej, a nie ciosów (na marginesie: na końcu zdania pewnie lepiej sprawdziłaby się długa forma zaimka: *mnie*). Podobne nieporozumienia wydają się szczególnie kłopotliwe, gdy temat jest tak poważny. Najbardziej dziwi to, że wielokrotne błędne użycie zaimków nie zostało wychwycone podczas korekty książki.

Tłumaczowi zdarza się też błędnie uchwycić związek logiczny. Na przykład w zdaniu „**While** local rulers in Badghis in peacetime had not taken a very liberal view of women, nor

did the warlords who followed, the Taliban who eventually came to control most of Afghanistan had a particular hatred for half the population” (s. 50) spójnik *while* należałoby zinterpretować raczej jako sygnał relacji przeciwstawności (i wybrać np. *podczas gdy*) niż przyzwolenia, jak w polskiej wersji zdania rozpoczynającego się od spójnika *mimo że* (s. 67). Na uwagę zasługuje też fragment, w którym poznane podczas gromadzenia materiału do reportażu Afganki pytają Nordberg, czemu wybrała ich kraj. „Is it the dust?” – pytają – „Or the war? We always have war” (s. 213). Po polsku: „Czy to przez ten pył?”, „A może przez wojny? Wojen mamy pod dostatkiem” (s. 251). Mało fortunny jest wybór przyimka *przez*, skoro mają to być dowcipne domysły na temat tego, co w Afganistanie atrakcyjne. W przekładzie żart się zatarł, można wręcz odnieść wrażenie, że kobiety pytają, czy to wszechobecny pył zaszkodził pisarce (na głowę?) tak, że postanowiła wyjechać w to niespokojne miejsce. Dodatkowo fraza „wojen mamy pod dostatkiem” sugeruje, że w kraju bez ustanku wybuchają kolejne wojny, a tak naprawdę oryginał sugeruje coś bardziej dramatycznego – Afganistan pogrążony jest w jednej wielkiej wojnie, być może rozumianej również jako coś bardziej abstrakcyjnego (stan umysłu, mentalność społeczeństwa). Szkoda, że ten niuans umknął w przekładzie.

Gdy opowiada o tym, jak Azita nie została wybrana na drugą kadencję w parlamencie, gdyż część głosów uznano za nieważne, Nordberg bardzo sprawnie i subtelnie porusza się pomiędzy oficjalnymi informacjami o zmianie wyniku wyborów a prawdziwą wersją zdarzeń. W przekładzie nie zawsze jest to tak dobrze rozwiązane. Tam, gdzie mowa o „blanket wipeout of votes” (s. 239, można to rozumieć jako masowe zniknięcie głosów), Hunia pisze, że Azita doświadczyła „sromotnej porażki wyborczej” (s. 281), co brzmi bardziej definitywnie i nie wskazuje na bezprawne manipulacje.

Ciekawy z punktu widzenia tłumaczeniowego jest fragment: „As a foreign, non-Muslim female, I am by definition a different species. Therefore, I am in some ways a neuter

(...)” (s. 99), przełożony: „Jako cudzoziemka i niemuzułmanka z definicji zaliczam się do osobnego gatunku. W pewnym sensie jestem więc rodzaju nijakiego” (s. 122). Nawiązania do rodzaju nijakiego (gramatycznego) nie było w angielskim oryginale – i dziwne, gdyby się tam pojawił, skoro język Shakespeare’a zna tylko rodzaj żeński i męski. W tym sensie Hunia udomawia ten fragment, posługując się pojęciem znanym Polakom. Czy jednak potrzebne jest to nawiązanie do gramatyki? Pewnie nie, bo odwraca uwagę od sprawy zasadniczej, może budzić wątpliwości (przecież – można się zastanawiać – słowa *cudzoziemka* i *niemuzułmanka* są rodzaju żeńskiego, skąd więc taka zmiana?) Dlatego pewnie lepiej brzmiałoby po prostu np. „jestem istotą bezpłciową”.

Problemów przekładowych często nastęrczają gry słów, tak jest też u Norberg. Gdy po przegranych wyborach Azita występuje w programie telewizyjnym, odżywa: „as long as the camera is on, she is on” (s. 263). Warto oczywiście zachować tę paralelę włączonej kamery i pełnej energii działaczki, ale propozycja „[p]óki kamera jest na chodzie, i ona jest na chodzie” (s. 307) nie wydaje się najbardziej trafiona. Wyrażenie *być na chodzie* znaczy raczej ‘być sprawnym’ niż ‘być włączonym’, a w dodatku brzmi niezręcznie w odniesieniu do człowieka. Docenić należy to, że tłumacz dostrzegł grę słowną i w pewien sposób ją oddał, być może jednak lepiej sprawdziłby się prostszy (niekoniecznie potoczny) odpowiednik, na przykład „póki kamera działa, działa i ona”, w którym wykorzystana zostałaby wieloznaczność czasownika *działać*, mogącego odnosić się i do przedmiotów, i do ludzi.

Jeszcze kilka przykładów tego, jak dobór słownictwa wpływa na zrozumiałość tekstu lub zniekształca obraz. Kiedy Azita prasuje koszulę, „[p]o tym, jak przez cały dzień **nosiła na rękach** najmłodsze dziecko, **gładzenie** tkaniny sprawia jej ból” (s. 174). Wyraz *gładzenie* zupełnie nie kojarzy się z prasowaniem, a ponadto pojawić się może niepożądane skojarzenie z drugim znaczeniem związanym z zabijaniem – nie mówiąc o tym, że w grę wchodzi też Baranek Boży, który *gładzi* grzechy świata. U źródeł błędu może tkwić mylna interpretacja

stroking movement (s. 144). Czasownik *stroke* faktycznie często występuje w znaczeniu ‘gładzić, głaskać’, ale ma o wiele szerszy zakres, a w tym przypadku wskazuje na posuwisty ruch przy prasowaniu. Można by też zauważyć różnicę pomiędzy noszeniem dziecka na rękach a trzymaniem go na biodrze (jak w wersji angielskiej: „on her hip”, s. 144) – w drugim przypadku jedna ręka pozostaje wolna, dzięki czemu Azita może wykonywać obowiązki domowe.

Przekładowi Huni nie można odmówić staranności i dbałości o szczegół, tym bardziej więc dziwią kalki (głównie leksykalne i składniowe). Niestety część z nich ujawnia się już przy lekturze polskiej wersji, bez konfrontacji z wersją oryginalną. Nienaturalnie i niezrozumiale wypada fragment „dziewczynka (...) chwyta mnie za **moją niepiszącą** lewą rękę i kładzie ją na **swoim** kolanie” (s. 161). Przymiotnik *niepisząca* użyty został na wzór *nonwriting hand* – w języku polskim trudno znaleźć adekwatny odpowiednik, trzeba więc pewnie oddać to opisowo, *niepisząca* ręka to niedoskonałe rozwiązanie ze względu na nieuniknione skojarzenia z kolokacjami typu *niepiszący długopis* (‘zepsuty’). W tym samym fragmencie uderza nagromadzenie zaimków dzierzawczych – to, co w języku angielskim naturalne, gdy mowa o częściach ciała, po polsku wypada niezgrabnie.

Ciekawym przypadkiem jest para słów *watermelon* i *melon*, używanych w wersji angielskiej wymiennie, gdy mowa o arbuzach – dzięki temu, że jedno słowo stanowi element drugiego *melon* odczuwane jest jako hiperonim dla *watermelon*. Inaczej po polsku – wyrazy *arbuz* i *melon* nie mają z sobą wiele wspólnego, więc niezbyt trafną decyzją jest traktowanie ich synonimicznie.

Za kalkę należałoby uznać frazę „urzędniczka wciąż ma się dopiero pojawić” ze s. 145 (ang. „has yet to show up”) – ten fragment brzmi niezrozumiale i nabiera znaczenia dopiero jeśli czytelnik skojarzy go z angielską konstrukcją. Jeszcze bardziej niefortunnie brzmią zdania: „Byli jak bracia! A nie jakąś ckliwą, romantyczną parą” (s. 227), w których widać

ślady wersji angielskiej („They were brothers! Not some sappy romantic couple”, s. 191). Paradoksalnie wystarczyłoby pozostać bliżej oryginału i pierwszą część przełożyć jako „Byli braćmi!” – wówczas czasownik *być* mógłby objąć oba rzeczowniki.

Na poziomie składni problemem są zresztą nie tylko kalki. I tak na przykład na s. 107 mowa o tym, że córki Azity „miały okazję skosztować kupione w piekarni bułeczki” (czasownik *skosztować* ma rząd dopełniaczowy). Problematiczne wydaje się zdanie: „Tą niewyszukaną maskaradą Zahra stanowi prowokację i podważa cały porządek społeczny swojego kraju” ze s. 120 – w języku polskim nie można *stanowić czegoś czymś* (tak wskazuje np. „Walenty. Słownik walencyjny języka polskiego” opracowany przez F. Skwarskiego, IPI PAN, 2012), to niezbyt zgrabne tłumaczenie angielskiej frazy „through this small masquerade” ze s. 98 wersji oryginalnej (na marginesie: można by też dyskutować na temat adekwatności przekładu *small* jako *niewyszukany*). Wątpliwości budzić może wreszcie użycie imiesłowu, na przykład we fragmencie zdania: „Rękawy były odrobinę za krótkie, **obnażając** kawałek nadgarstka” (s. 122). Wydaje się, że w tym przypadku nie zostały spełnione warunki poprawnego użycia imiesłowu współczesnego i w związku z tym angielską formę *showing* zrzętniej byłoby oddać choćby za pomocą drugiego zdania składowego.

Jedną z trudności typowych dla tłumaczenia z angielskiego na polski jest szyk wyrazów, który w naszym języku jest o wiele swobodniejszy. Warto by z tej swobody skorzystać, na przykład tłumacząc zdanie „I was hoping Carol le Duc might have some input on the topic” (s. 18 wersji angielskiej). Postać Carol pojawia się po raz pierwszy i dlatego byłoby dobrze, gdyby jej imię, jako nowa informacja, znalazło się na końcu zdania – tam, gdzie pada akcent logiczny. Zaproponowana polska wersja „Miałam nadzieję, że Carol le Duc będzie coś wiedzieć na ten temat” (s. 31) sugeruje, że bohaterka jest już znana, co może zmylić czytelnika.

Istotną różnicą pomiędzy językiem polskim a angielskim są naturalnie czasy. Nordberg opowiada w czasie Past Simple o uroczystej kolacji u Azity, a później za pomocą konstrukcji *used to* (używanej, gdy mowa o zdarzeniach powtarzających się w przeszłości, które już się nie zdarzają) dodaje, że w przeszłości (przed przemianą Manusz w chłopca) przy takich okazjach mężczyźni wyrażali współczucie z powodu braku męskiego potomka. Skoro w języku polskim nie ma analogicznej konstrukcji, można na przykład dodać przysłówkę *dawniej*. Tak się jednak nie stało i w efekcie niestety fragment ten, brzmiący po prostu „Po pięciu czy dziesięciu minutach zaczęli pytać o mojego syna” (s. 78–79), sugeruje, że kłopotliwe pytania pojawiły się podczas tej właśnie kolacji (to nielogiczne, skoro Manusz wzięła w niej udział już jako Mehran).

W ogóle niewątpliwie wyzwaniem dla tłumacza była postać córki-syna Azity. Dziewczynce początkowo nadano żeńskie imię Manusz, później zmieniono je na Mehran. W innych okolicznościach męskie imię należałoby odmieniać – damskie imiona zakończone spółgłoską pozostają nieodmienne. Angielski oryginał nie daje żadnych wskazówek, decyzja należała więc do tłumacza. Problem rozwiązany został bardzo sprawnie – w wersji polskiej narratorka nie odmienia imienia (a więc zaznacza płeć dziewczynki, której przecież jest świadoma), tylko kiedy mowa o tym, że kilkulatka „nie jest już Manusz, a coraz bardziej staje się Mehranem” (s. 96), imię odmieniono według wzorca męskiego, co dobitnie podkreśla powodzenie przemiany Manusz w chłopca. Z pewnością można to uznać za dodatkowy walor przekładu. Gorzej polska wersja obrazu Mehran wypada we fragmencie, w którym uczestniczy ona w przyjęciu wydawanym przez rodziców. Kiedy przyglądają jej się goście, dziewczynka się „rumieni”, podczas gdy po angielsku jej twarz jest „glowing” (a więc raczej ‘promienieje’). Nie jest to niewinna modyfikacja: wstydlivy rumieniec to typowo dziewczęca reakcja, a przymiotnik *glowing* sugeruje raczej zadowolenie z bycia w centrum uwagi – bo

Manusz występującej jako Mehran bardzo to odpowiada (jako dziewczynka nie mogłaby cieszyć się przywilejem rozmowy z obcymi przy posiłku).

W *The Underground Girls of Kabul* pojawiają się odniesienia z jednej strony do świata muzułmańskiego, z drugiej – do rzeczywistości amerykańskiej. W ramach tłumaczenia należy więc rozważyć przybliżenie ich polskiemu czytelnikowi. O ile dyskretne dopowiedzenia dotyczące np. angielskich gier słownych są zupełnie zrozumiałe, o tyle wątpliwości budzą przypisy dodawane tam, gdzie mowa o rzeczywistości arabskiej. Zwykle przypis potrzebny jest, gdy występuje rozbieżność pomiędzy wiedzą czytelnika oryginału a wiedzą odbiorcy przekładu. Arabskie słowa są jednak obce i dla Amerykanów, i dla Polaków. Można więc zastanawiać się, czy słusznie umieszczono w przypisie wyjaśnienie, czym jest *kohl* (s. 19: „popularny na Bliskim Wschodzie tusz do rzęs”), którym Azita maluje sobie oczy (zwłaszcza że kosmetyk ten znany jest już również w Polsce, a z kontekstu jasno wynika, że mowa o makijażu oczu). W dodatku objaśnienie wprowadza w błąd: *kohl* pełni raczej funkcję kredki do oczu niż tuszu.

Przy okazji na wzmiankę zasługuje sposób potraktowania wyrażenia *Pond's cold cream* (s. 60 wersji angielskiej) – *krem chłodzący Ponda* (s. 78). Wprawdzie nazwa producenta faktycznie ma postać dopełniaczową, ale na rynku polskim firma ta funkcjonuje pod nazwą *Pond's*. Taki przekład utrudnia zorientowanie się, że chodzi o tę samą markę, a przecież dla polskich czytelników (zwłaszcza płci żeńskiej) interesujące mogłoby się okazać to, że afgańska bohaterka reportażu używa kosmetyku doskonale znanego im producenta. Być może łatwiej byłoby w osobisty sposób odbierać historię Azity, zrozumieć, że nie należy ona do innego świata niż nasz, a ujawniają to codzienne czynności, takie jak wieczorny demakijaż.

Choć książka wymagałaby kilku poprawek, należy pamiętać, że wiele usterek daje się zauważyć właściwie tylko dlatego, że wyróżniają się na tle bardzo sprawnie przełożonej

całości. Zastrzeżeń w zasadzie nie budzi styl, dopasowany do tematyki i uwzględniający różnice pomiędzy wypowiadającymi się postaciami, typowo tłumaczeniowe błędy ekwiwalencji należą mimo wszystko do rzadkości, większych problemów zdają się nastroczać kalki i różnice gramatyczne między językami. Niekonsekwencją jest to, że z jednej strony tłumacz przybliży utwór do czytelnika (jak w przypadku „rodzaju nijakiego”), z drugiej nieco go oddala („krem Ponda”). Z tej perspektywy największym problemem wydaje się przekład samego tytułu, który, choć brzmi zgrabnie i zachęcająco, może wywołać nieadekwatne do treści oczekiwania czytelnika.

(Jenny Nordberg, *Chłopcyce z Kabulu*, tłum. Justyn Hunia, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015)